

IRENA KRUKOWSKA
UL. KATOWICKA 13
71 - 032 SZCZECIN
TEL. 91•483•2371

LUDWIKA
CZERWIŃSKA
1925 - 2006



*Wszystkim tym,
którzy kochali moją Mamę
dedykuję Jej wspomnienia*

córka

Był ranek 10 lutego 1940 r. Spałam jeszcze, a gdy otworzyłam oczy, stał przede mną jeden z tych, którzy w październiku ubiegłego roku, przy wciąż padającym deszczu szli i szli naszymi polskimi drogami, ulicami miast. Szary mundur, czapka nazywana szlomą i ostra pika na karabinie przewieszonym przez ramię.

Żołnierz radziecki dał rozkaz ubierać się, bo zaraz wyjeżdżamy. Nie było to dla mnie zaskoczeniem, bo od czasu okupacji niemieckiej, potem rosyjskiej, słyszałam ustnie przekazywane przez dorosłych wiadomości, że ten lub inny został zabrany, aresztowany. Wydawało mi się, że nas nie ominie taki wyjazd. Miałam w pogotowiu spakowaną małą walizeczkę, a w niej najdroższe pamiątki - obrazki od Ks. Katechety, pamiętnik, niektóre zdjęcia. Teraz mój "opiekun" wszystko obejrzał i wyprowadził mnie do kuchni. Zobaczyłam ojca i dwóch braci siedzących na

krzesłach, przy każdym jeden żołnierz. Nie wolno było im się poruszać po mieszkaniu. Jedyna mama otrzymała rozkaz pakowania w określonym czasie - pół godziny. Widziałam jak ubierała dziesięcioletnią siostrę i chodziła z kuchni do pokoju, słyszałam kilkakrotnie powtarzane przez żołnierza słowa "tego nie bierz, tam wszystko będzie".

Teraz stałyśmy w dużej kuchni nieruchomo, a oni wyrzucali rzeczy z szafy, z szuflad na podłogę. Pomieszczone ubrania z książkami, stłuczona doniczka z kwiatkiem, jakieś rozbite naczynie, wylana woda, tworzyły przygnębiający widok. Szukali broni - nie znaleźli. Ojciec upoważniony do jej noszenia dawno ją dobrze schował.

Przed domem stały zaprzęgnięte w konie sanie. Rodzice i my - czwórka dzieci, z całym dobytkiem zmieściliśmy się na tym powozie.

Dzień był bardzo mroźny. Jechaliśmy najpierw do gminy, a potem wieziono nas długo do stacji, nie do najbliższej, ale dużo dalej. Czekaliśmy na nas bydlęce wagony, brudne, cuchnące, zimne. Tu byli już ludzie tacy jak my. Ciasno i zimno, jesteśmy głodni, nic ciepłego do jedzenia. Dostaliśmy miejsce na zrobionych z desek "pryczach" pod samym dachem wagonu, przy małym okienku zabitym deskami. Zaglądając przez szparę informowaliśmy się, w którą stronę jedziemy.

Przykra była chwila przejazdu przez granicę. Ludzie płakali. Ja żegnałam w duchu ukochanych nauczycieli, koleżanki, swoją kochaną Ojczyznę. Byłam nawet dumna, że będę za nią cierpiała.

Chwilę grozy przeżyłam na jednej ze stacji w Polsce. Do drzwi wagonu mocno zastukano, żołdat wykrzyknął nazwisko mojego ojca - ten odpowiedział - jestem. Serce mi zamarło! Ojca naszego zabiorą. Słyszałam otwieranie

zaryglowanych drzwi, równocześnie wpadła do wagonu paczka. Przez moment, gdy drzwi były otwarte, zobaczyłam, że przy ścianie magazynu stacyjnego stali nieruchomo przyjaciele rodziców, moja koleżanka i dwóch jej braci. W jakiś sposób dowiedzieli się o drodze naszego przejazdu (znajomy był kolejarzem) i tym gestem potwierdzili swoją prawdziwą przyjaźń.

Miesięczna podróż była bardzo męcząca. Rzadko otwierały się drzwi, kiedy by dawano nam ciepłą herbatę lub zupę. Nie było wątpliwości, że jedziemy na wschód, więc na Sybir. Dni bardzo się dłużyły. Był czas na wspomnianie. Myślałam o swoich nauczycielkach zakonnicach, Księdzu Katechecie. Czy ich kiedy zobaczę? Rozmyślałam o wszystkim, co zostało - domku w lesie, każdym znajomym krzaczku, kwiatku, kotku i piesku. Pożegnałam ich na zawsze. Tego już nie ma i nie będzie, zaczniesz się coś zupełnie nowego, niewiadomego.

Skończyła się jazda pociągiem - zaczęła ciężarowym samochodem. Zima tu była ostra, śniegu dużo. Pierwszy nocleg u tamtejszej rodziny bardzo utkwiał mi w pamięci. Wprowadzono nas do małej chatki. Buchnęło ciepło rozgrzanego blaszanego piecyka. Miłe uczucie. Rodzina rosyjska zebrana w jednym kącie izby ciekawie nam się przyglądała. Gdzie będziemy spać? - myślałam. Jedno łóżko nakryte samodziałową kapą, na nim dwie grube poduszki ubrane ręcznie zdobionymi koronkami. Na tym się znałam, bo takich robótek uczyły nas w szkole zakonnice.

Przed ułożeniem się do snu gospodyni te piękne poduszki i kapę odłożyła na stojący obok kufer. Zamiast prześcieradła zobaczyłam jakieś ciemne szmaty. Położyła na tym dzieci, ktoś ułożył się na dużym piecu chlebowym, który w tych stronach zajmował jedną trzecią powierzchni izby. Moją siostrę umieszczono na łóżku wraz z dziećmi

gospodarzy (leżeli jak śledzie). My wszyscy, nie rozbierając się, na podłodze, żołnierz z piką - przy drzwiach.

Podróż do pierwszego miejsca zamieszkania - Tiuryńki dla mnie była fatalna. Spaliny benzyny samochodu były tak silne, że przez całą drogę męczyły mnie torsje. Widziałam przerażone oczy mojej mamy, ale żadnego znikąd ratunku. Las i las. Z uwagi na zaśnieżone drogi samochód to się psuł, to mężczyźni z łopatami odwalali śnieg robiąc drogę pojazdowi. Na takich przystankach nabierałam świeżego powietrza i tak to się powtarzało. Na ostatnim postoju kierowca powiedział, że dalej nie ruszy. Byłam słaba, wyczerpana torsjami, widziałam tylko ciemny las. Była już głęboka noc - myślałam, że tu zamarzniemy.

Na nasze szczęście do baraku, w którym mieliśmy zamieszkać było niedaleko i ojciec zaniósł mnie na

rękach jako pierwszą. W środku naokoło ścian stały zrobione z desek gołe prycze. Policzyłam i było ich o wiele za dużo jak na naszą rodzinę. W tym pokoju zamieszkały razem trzy rodziny, obcy nieznani mi ludzie, trzynaście osób w tym małe, stale płaczące dwu - trzyletnie dziecko. Zmęczona, słaba leżałam na pryczy i tej nocy przekonałam się, że będziemy tu mieszkać razem z pluskwami. Te zresztą towarzyszyły nam do końca naszych dni pobytu na Syberii.

Ciężkie czasy nastały dla mnie w tym zgiełku. Rozmowy, rozpacz dorosłych, płacz dziecka przygnębiały. Zaczęło tu się nowe życie, którego nie byłam w stanie zaakceptować.

Okazało się, że nie jesteśmy wolni, że mamy komendanta, który zaraz wyznaczył mężczyzn i kobiety do pracy w tajdze. Nie mogliśmy się oddalać od naszego baraku - nie stosujący się do poleceń byli karani karcem.

Po kilku tygodniach udręki nasz barak spłonął. Były robione porządki. Palono śmieci i nagle zerwał się bardzo silny wiatr.

Ogień szybko strawił drewnianą budowlę. Barak stojący trochę niżej ocalał. Różne były domysły. Sabotaż? Ale nikt nie poniósł kary.

Kruty Klucz, dokąd nas zawieziono, była to duża wioska z domkami i sklepem. Baraki nasze stały nad jeziorem, z drugiej strony odcięte od wioski rzeką, przez którą przepływało się promem. Już sam wygląd zewnętrzny wskazywał lepsze warunki - tak też było. Dwa pokoje ze wspólną kuchnią zajęliśmy z zaprzyjaźnioną rodziną ze spalonego baraku. Dziękowałam Bogu za ten silny wiatr! Pluskwy jednak nadal były z nami. Mama parzyła prycze, ale pomagało to na trochę, potem znowu były.

Już na początku 1941 r przewieziono nas na Zdrowe Ziarno. Była to mała wioska w środku

lasu, jak inne małe osady licząca kilkanaście domków, w których mieszkali Rosjanie. W wielkim pośpiechu budowano dla nas domy na uboczu wioski. Sosnowe bele ociosane tylko z wewnętrznej strony kładziono jedna na drugą i przekładano mchem. Na zewnątrz sterczały kominy - znak, że jest piec i będzie ciepło. Tak nie było. Spaliliśmy bardzo dużo drzewa, ale dom nie dał się ogrzać. Cierpieliśmy w tym naszym jednym pokoju głód i zimno przez wszystkie długie dni zimy.

Wojna z Niemcami i porozumienie gen. Sikorskiego ze Stalinem przyniosło odwilż. Mogliśmy na własną rękę wyjechać w dowolnym kierunku nie przekraczającym 100 km. Przy końcu 1942 r. osiedliliśmy się: Prom Artiel "Rekord" uczastok Małyj Kokuczej.

Do swojej jednej izby przyjęła nas rosyjska kobieta z małym dzieckiem, a potem zaproponowano nam

malutki domek nad brzegiem rzeki, z którego wyprowadziła się córka do swojej matki, kiedy mąż jej został posłany do wojska.

Moja pierwsza praca to korowanie ściętych drzew, które miały być wrzucane do rzeki, by tak płynąć do miejsca przeznaczenia.

Piłowałam drzewa i układałam w stosy, Zmiatłam śnieg z poukładanych desek przy tartaku. Robiłam beczki. Zbierałam żywicę i nacinałam drzewa dla jej ujścia. Pracowałam na polu.

Ani wojna z Niemcami, ani porozumienie gen. Sikorskiego nie wpłynęło na dyscyplinę pracy. Była ona obowiązkiem i wymagała olbrzymiego wysiłku. Bolały ręce, nogi, krzyż. Opuszczenie jednego dnia lub przyłapanie na bezczynności w lesie groziło trzymiesięcznym więzieniem. Żeby otrzymać "pajok" - określoną ilość chleba - trzeba było wykonać normę. Z tego powodu godziny

pracy wydłużały się do ponad dziesięciu, dwunastu dziennie. Oprócz ciężkiej pracy dokuczał głód, ostre mrozy, brak ciepłej odzieży i w ogóle ubrania. Wszystkie możliwe nasze rzeczy mama zamieniła u tamtejszych gospodyń na ziemniaki i trochę mleka. Wspomnę, że zabrane przez nas zapasy żywnościowe skończyły się jeszcze w podróży. Głód zmuszał, by na polu wykopywać pozostawione przez zbieraczy ziemniaki, czasem zmarznięte po zimie i zbierać niezjedzone przez ptaki kłosa zboża.

Z uznaniem wspominam ruskie kobiety, które dzieliły się kołaczem upieczonym z zapasów mąki z dawnych lat lub zapraszały do stołu na kolację choć same były bardzo biedne. Teraz dokładnie rozumiem, co przeżywali nasi rodzice patrząc jak my - ich dzieci pracujemy ponad siły i w okropnych warunkach.

W tej chwili nie wyobrażam sobie mojego życia, gdyby to samo musiały przeżywać moje dzieci. Nie jestem pewna, czy nie załamałabym się, gdybym musiała patrzeć na niezawinioną krzywdę najdroższych osób.

Mam 74 lata i wiem, że za sprawą Opatrzności Bożej wróciłam i żyję tak długo, choć praktycznie lecę się od powrotu do kraju, Zawsze liczyłam na Pomoc Bożą w każdej potrzebie i nie zawiodłam się. Najmniejszy odruch ludzkiej dobroci przysłania mi wszystkie wyrządzone krzywdy.

Szczecin 1999 r.